



## W jaki sposób zaczęłaś przygodę z gitarą?

Szczerze mówiąc, do tej pory się dziwię, że ją w ogóle zaczęłam. Mój dom był wyjątkowo niemuzyczny. Tata nie słuchał Rolling Stonesów i nie zbierał winyli, a żadne z rodziców nie grało na żadnym instrumencie. Skąd mi się to wzięło? Chyba z telewizji, list przebojów Niedźwiedzi i kaset z bazaru. Na początku lat 90. elektronika nie była tak wszechobecna, prawie w każdym zespole ktoś grał na gitarze. A gitara była ekspresyjna, widoczna – po prostu fajna. Z drugiej strony impulsem był też sprzeciw. Jeśli spotykałam osoby grające na gitarach, to były to przeważnie dziewczyny. I właściwie jedyne, czego się od nich uczyłam, to to, że bardzo nie chcę grać tak jak one (*śmiech*). Do młodości doprowadzały mnie ich smętne piosenki o wrzosowiskach i plumkanie na wiolinowych strunach. Jedyną kobietą, która przekonała mnie od razu do swojej gry i vice versa, była Karolina Koriat. Obie przez kilka lat grałyśmy najpierw utwory własnej produkcji, na dwie gitary akustyczne, a później założyłyśmy bluesowy duet Proud Mary.

## Czy uczyłaś się w jakiejś szkole muzycznej?

Kiedyś, jeszcze w szkole podstawowej, marzyłam o dostaniu się do chóru, ponieważ oprócz śpiewania uczono tam gry na gitarze. Egzamin polegał na zaśpiewaniu gamy C-dur. Gamę zaśpiewałam i... się nie dostałam (*śmiech*). W zaistniałych okolicznościach przyrody trudno mi było wyobrazić sobie, że ktokolwiek będzie chciał mnie widzieć w szkole muzycznej. Z drugiej strony gitara klasyczna zupełnie mnie nie interesowała. Miałam 15 lat – chciałam być Slaschem, a nie Piazzolą. Natomiast tym, czego nigdy nie unikałam, były warsztaty muzyczne, które można chyba uznać za pewną formę szkoły. Dwukrotnie byłam w Bolesławcu na festiwalu „Blues nad Bobrem” w klasie Romana Puchowskiego, udało mi się dotrzeć do Pragi na weekendowy warsztat z Woody Mannem, a także (i przede wszystkim) polecieć do Nowego Jorku na International Guitar Seminars, na zajęcia do Boba Brozmana, Johna Cephasa i wspomnianego Woody Manna. Tak czy inaczej nauczyłam się grać sama, wymyślając własne riffy, melodie, utwory. Grałam to, co siedziało mi w głowie, nie mając pojęcia, według jakich zasad się to odbywa. To było kompletnie intuicyjne. Słuchałam głównie ciężkiej muzyki i chciałam grać na gitarze elektrycznej. Jednak w domu był tylko Defil i to na niego musiałam przelać swój potencjał twórczy. Przez długi czas myślałam, że w końcu kupię sobie upragnionego elektryka. Jednak miesiące mijały i tak już pozostało. Potem dopiero pojawił się blues. Wtedy po raz pierwszy zaczęłam grać „nie swoje” rzeczy, kopiować solówki, uczyć się typowo akustycznych technik gry...

## Czy pamiętasz jakąś chwilę przełomową, coś, co zmieniło twoje podejście do życia i gry na instrumencie?

Pamiętam, i nawet, gdyby się uprzeć, potrafiłabym podać dokładną datę oraz godzinę. To było w sierpniu 2001 roku na festiwalu gitary rezofoicznej Dobrofest w Trnawie na Słowacji, gdzie występował Bob Brozman. Koncert przerósł wszystkie moje oczekiwania. Jego granie było zupełnie jak z innej planety – frywolne, pomysłowe, jakby bez ram i sztywnych schematów, pełne energii, humoru, po prostu żywe. Zupełnie inne od muzyki, której słuchałam, gdzie mieliśmy podkład, temat i solówkę – to było takie wypuszczenie swojego umysłu na wolność. Brozman na scenie używa wielu sztuczek technicznych i to one w pierwszej kolejności zwracają uwagę. Ale mnie oprócz nich zafascynowało to, jak dużo wbrew pozorom można jeszcze „wynałazić” na gitarze, jak kreatywnym może być umysł gitarzysty, jeśli przestanie myśleć o instrumencie w sposób tradycyjny. Po koncercie natychmiast

zostałam wyznawcą Brozmana i postanowiłam zrobić wszystko, żeby w jakiś sposób móc uczyć się od niego, i to z pierwszej ręki.

## Jakie masz najlepsze i najgorsze wspomnienie z grania na scenie i w studio? Jakies wpadki, anegdoty, niespodzianki?

Mam wspomnienie, które jednocześnie mogę uznać za najgorsze i najlepsze. W czerwcu 2005 roku jechaliśmy z zespołem Blue Sounds na wspomniany już Dobrofest na Słowację. Siedem kilometrów przed Trnavą świat nam się zakreślił wokół własnej osi i postawił na głowie – mieliśmy dachowanie przy prędkości 130 km/h na autostradzie. Wylądowaliśmy w rowie tuż obok słupów wspierających most, cudem w nie nie uderzając. Wypadek był na tyle poważny, że właściwie możemy mówić o swoich drugich narodzinach. Na dłuższą metę nikt nie ucierpiał, natomiast koncertu z Blue Sounds de facto nie zagraliśmy – Joasia nie czuła się najlepiej i wraz z Tomkiem wróciła do Polski. Ja natomiast zostałam na miejscu z Magdą Piskorzycz, która wybrała się z nami tylko towarzysko. Organizator zapytał, czy wobec tego nie miałybyśmy ochoty wystąpić we dwójkę. Instrumenty też cudem ocalały, więc dlaczego nie? Zagrałyśmy dwukrotnie – raz przed Bobem Brozmanem, raz z nim we trójkę. Wspominam to niesamowicie. Znalazłam się na jednej scenie z moją przyjaciółką i facetem, który parę lat wcześniej skutecznie przewrócił mi w głowie (oczywiście w sensie muzycznym), dzięki któremu polecałam na warsztaty do Stanów, i o występie z którym od tak dawna marzyłam. Radość była tym większa, że nie doszedłby on w ogóle do skutku, gdyby nie fakt, że cudem ocaliliśmy w wypadku.

## W jaki sposób teraz ćwiczysz?

Różnie. W zależności od potrzeby. Między innymi dlatego, że gram różny repertuar na trzech, zupełnie różnych gitarach: akustycznej, elektrycznej i Dobro. Każda z nich to inne brzmienie, inna artykulacja. Ale jest kilka rzeczy, które robię zawsze. Po pierwsze – z metronomem. I cokolwiek to by nie było, najpierw wolno, dopiero później szybko. Bez tego, jak sądzę, nie uzyska się ani właściwego pulsu, ani artykulacji. Po drugie – spisuję utwory innych wykonawców, żeby zobaczyć „jak to jest zrobione” i jak ktoś myśli muzycznie. Te dźwięki, tematy, riffy zostają mi gdzieś z tyłu głowy, ale nie wykorzystuję ich w sposób identyczny na koncercie. Po trzecie – improwizuję z jakimś podkładem. Są to utwory, które gramy aktualnie na koncertach, piosenki, które lubię, albo swoje rzeczy.

## Czym obecnie się zajmujesz?

Miło to powiedzieć, ale obecnie prawie cały mój czas wypełnia muzyka. Tym milej, że zawsze o tym marzyłam. Gram w zespole Magdy Piskorzycz, z którą współpraca układa się doskonale. Łączy nas przyjaźń i dzięki temu rozumiemy się bardzo dobrze zarówno w życiu, jak i w muzyce. Wiążę z tym projektem duże nadzieje. Oprócz tego pracuję nad książką o czarnej muzyce będącej rozwinięciem mojej pracy magisterskiej – o stylach i ludziach, których słucham, podziwiam, o ewolucji tych gatunków muzycznych oraz o tym, dlaczego tak bardzo je lubimy.

## Jakie rady dałabyś innym młodym gitarzystom?

Żeby pamiętali, że granie to przede wszystkim przyjemność, a nie zawody sportowe na najtrudniejszą i najszybszą solówkę. To sposób na opowiedzenie o nas samych, a nie metoda na leczenie kompleksów. Będąc instrumentalistą, łatwo popaść w pułapkę tworzenia muzyki tylko dla gitarzystów. Osobiście wolałabym, żeby dzięki temu, co gram, wszyscy ludzie mogli coś przeżyć. Jeśli chcemy znaleźć swój indywidualny styl i sposób ekspresji, musimy przede wszystkim grać to, co nam się podoba. Nic na siłę. Nie można bać się pomyłek. Człowiek to nie robot i mylić się może, to go jednak nie dyskwalifikuje. Ważniejsza jest ekspresja, uczucie i autentyczność, niż doskonałość techniczna. Poza tym perfekcja już z samej swej natury jest nieosiągalna. I to nie ona powoduje, że ludzie wzruszają się na koncertach. A przecież właśnie o to nam, muzykom, chodzi – żeby wzbudzić emocje, poruszyć, zadziwić...

### ALEKSANDRA SIEMIENIUK

gra na gitarze Dobro, akustycznej i elektrycznej. Występowała w bluesowym duecie Proud Mary, w trio Blue Sounds, a także w zespole Magdy Piskorzycz. Autorka pracy magisterskiej o znaczeniu i wykorzystaniu dźwięku w czarnej muzyce oraz uczestniczka International Guitar Seminars w Nowym Jorku.

WIĘCEJ INFORMACJI: [www.myspace.com/olasiemieniuk](http://www.myspace.com/olasiemieniuk)